

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.

W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.

W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.

W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPOŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do redakcyi, zamieszczają się recenzye. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Świat Nr. 4.

Niewyrażni.

Ktoś powiedział że ilością stronnictw w danem społeczeństwie mierzy się społeczeństwa tego intelektualna siła i żywotność. Może to być.

Może być, iż są takie szczęśliwe narody, które ze sprzeczności przekonań i poglądów jednostek oraz grup je składających, ze ścierania się wzajemnego wielorakich dążeń — czerpią korzyść ogólną i wyrabiają w sobie jasność sądu.

U nas jednak dzieje się — inaczej.

Mamy i my, wprawdzie, wielką ilość przeróżnych „obozów“, „stronnictw“, kół, kółek i kółeczek; polemizuje my zawzięcie o różnorodne „programy“ i „kierunki“; walczymy o różne „zasady“; zapalamy się do różnych „teoryj“ ale...

Ale cóż, kiedy, pomimo wszystkich tych objawów życia i energii (stylistycznej), kręcimy się w błędnym kole nieświadomości o s o b i s t e j. Ogólnie wzięwszy, jesteśmy wszystkim potroszę: i konserwatystami i postępowymi, i chrześcianinami i bezwyznaniowymi, i radykałami i oportunistami — niby pewne ptaki, co to mają upierzenie różnokolorowe — a naprawdę jesteśmy... niewyrażni.

Kto domyślny, niech zgadnie o jakich ptakach mówimy, ktoby zaś nie mógł zgadnąć, niech spojrzy w koło siebie, niech posłucha co i jak mówi jego otoczenie, jak „wynawane“ przez siebie „zasady“ obleka ono w ciało czynu, a głównie niechaj postara się przekonać o ile te „zasady“, „hasła“ i „kierunki“, o jakich się dzisiaj tak wiele mówi i pisze, są głoszone z pojęciem ich znaczenia i cenione wedle wartości rzeczywistej, — niech postara się przekonać o tem, a gdy dostrzeże iż większość wszelakiego gatunku „zasadowiczów“ p o w t a r z a jedynie pochwycone gdzieś tam, po drodze, frazesy, wtedy i nazwę ptaków o jakich wspomnieliśmy, odgadnie z łatwością.

Jakkolwiek kolekcya t a k i c h „zasadowiczów“ jest najliczniejszą, i jakkolwiek dzięki im głównie zewnętrzny charakter naszego ogółu jest niewyraźnym, — znajdują się między nami i inni jeszcze: „zasadowicze“... praktyczni.

Pierwsi zmieniają zapatrywania swe i przekonania stosownie do mody, drudzy czynią to samo, lecz dla — interesu. Tamci naiwnie, ci obłudnie przedzierzają się co chwila w inną poczwarkę, łudząc pozorami rzeczywistych motyli.

Ale dajmy pokój szczegółowej charakterystyce współ-

czesnych naszych „zasadowiczów“. Innym razem przedstawimy wszystkie ich gatunki. W tej chwili idzie nam głównie o zwrócenie uwagi na tę fatalną gmatwaninę pojęć moralno-filozoficznych i na ten chaos przekonań w ogóle, w jaki popadliśmy i popadamy coraz bardziej.

Porwani prądem czasu, biegniemy na oślep za innymi, choćby ci inni wiedli nas do przepaści. Biegniemy, nasłuchując zkąd doleci nas efektowniejszy frazes, i zwracamy się w stronę najbardziej niepochwytnych urojeń. A czynimy to tak... lekko, jakby szło nie o wybór materiału na podwaliny moralnego bytu naszego, ale, dajmy na to, o wypalenie cygara lub o wyklucie zębów po smacznym obiadku.

— Bo i pocóż się zastanawiać, kiedy idąc za innymi można, bez trudu, dojść do celu? Wszak tyłu jest dzisiaj „trzeźwych“ prowodyrów, którzy wynajdują dla nas coraz to krótsze drogi do szczęścia, i to nie jakiegoś tam zaściankowego, ograniczonego warunkami miejscowemi, lecz ogólnego, powszechnego; pocóż tedy suszyć głowę daremnie nad środkami samodzielnego zdobycia własnych jakichś, swoich kierunków, kiedy wygodniej, no, i praktycznie podążać drogami wytkniętymi przez obcych. A że ten i ów, na owych obcych drogach potknie się lub zbłądzi, że wdrapawszy się na jakieś obce „wyżyny“ dostanie zawrotu głowy, stoczy na dół i roztrzaska sobie czaszkę — to wypadek, który nikogo zrażać nie powinien.

Tak, mniej więcej, mówimy sobie i tak też robimy istotnie. W tym wypadku jesteśmy zupełnie konsekwentni i — wytrwali.

Stało się z nami coś niepojętego.

Przez długie, bardzo długie czasy byliśmy, pod względem myśli, pojęć i wogóle moralnych i społeczno-filozoficznych dążeń, strumieniem wartkim wprawdzie i rwącym, ale równocześnie głębszym nieco i mającym łożysko stałe. Występował on niekiedy z brzegów, ale trwało to zwykle niedługo i nie przybierało takich jak dzisiaj rozmiarów. Dziś strumień ten, jak gdyby dno jego wydeło się i podwyższyło nagle, wylał szeroko, rozprysnął na tysiące odnóg maleńkich i stał się tak płytkim, że oprócz miniaturowej jakiejś łódeczki, żadnego już chyba większego ciężaru udźwignąć nie zdoła.

— Czas... — powie ktoś — okoliczności...

Pewnie — ale w części tylko. Główną przyczyną zamiętu naszych pojęć moralnych i filozoficznych jesteśmy my sami.

Olśnieni zdobyczami „nowożytnej wiedzy“, zdziwieni śmiałością różnych „nowych“, żywcem z Zachodu przeszczepionych, hipotez — zakrzyczeni przez fanatycznych wyznawców i krzewicieli „postępu liberalnego“, zawstydziliśmy się zgodnego po drodze wspólnych wierzeń kroczenia i rozbiegli w strony różne.

Spowszedniało nam słońce, które zawsze i wszystkim jednakowo przyświeca, więc pokładaliśmy na oczy różnokolorowe szkielka i spieramy się o barwy przedmiotów, dowodząc że są takimi jakimi my je widzimy; — sprzykrzył się nam gościniec szeroki i równy, więc pobiegliśmy boczniemi ścieżynami i, oddalając się od celu, wmawiamy w siebie że przeciwnie, przybliżamy się doń coraz bardziej.

Nigdy może, tak jak dziś, nie było na czasie znane przysłowie: „co głowa, to rozum“. — Istna wieża Babel.

Co z tego wyniknie w rezultacie, odgadnąć nie trudno: będziemy wszystkim, czem kto zechce; ale przestaniemy być — sobą.

Trudno, co prawda, wymagać, aby wszyscy myśleli jednakowo, jest to psychologicznem niepodobieństwem; — ale trudno też przypuścić, aby dobrze być miało gdy każdy, co chwila, zmienia kierunek myśli i przekonań, lub, jeżeli trzyma się stale jakiegoś „kierunku“, to nie umie przeprowadzić go w życiu.

Trudno wymagać, aby wszyscy mieli jednakie zamiary i urzeczywistniali je w sposób jednaki; — ale trudno również nie wątpić o naszym zdrowiu społecznem, gdy, ku jego zachowaniu, każdy coraz odmienne środki zaleca.

Trudno, przy zmieniających się ciągle warunkach bytu, zamykać oczy i zatykać uszy na wszelkie, z warunków tych płynące, odmiany; — ale cóż za korzyść być może, gdy syny i uczniowie wciąż gardzić będą doświadczeniem i nauką ojców i nauczycieli, a natomiast, dając folgę fantazyi młodzieńczej, szukać bezustannie dróg „nowych“?...

Cóż wtedy będzie długo „nowem“, co dojrzeć, zakwitnąć i owoc wydać zdoła?

Życie toć przecie nie przechadzka dla rozrywki. Nie wypada, nie godzi się, traktować je jako farsę. Na spacer można wychodzić raz w żółtych drugi raz w zielonych rękawiczkach i w surducie szarym lub granatowym; — można w „towarzystwie“ grzecznym ukłonem wszystkich jednakowo obdarzać; — można na przedstawieniu operetki, śmiać się wraz z innymi z płaskich bodaj conceptów; — ale nie można zmieniać przekonań dla mody lub dla interesu; — nie można stawać pod jakimś sztandarem dla jego barw mniej lub więcej jaskrawych. Jednym słowem, nie można być dzisiaj zimnym, jutro gorącym, a po jutrze tylko letnim. Trzeba być wyraźnym i mieć jakiś stały, niezmienny kierunek, bo tylko z takich, głęboko pojętych i stale

a rozumnie wyznawanych „zasad“, tylko z takich sprzeżności może z czasem wykwitnąć — harmonia.

Do tego wszakże, pożądanego wielce, stanu wyrazistości przekonań nie dojdziemy nigdy, jeżeli nie przestaniemy kopiować niewolniczo wzorów... zagranicznych. Tu trzeba samodzielności. Nie dojdziemy jeżeli nie przestaniemy przyswajać sobie wszystkich bez braku, „nowości“, a przyswoiwszy porzucać znów lekkomyślnie.

Nie tędy droga do wyrobienia społecznego!...

W. St. Orczyc.

Listy z Galicyi.

XX.

(Dokończenie.)

Pan Władysław Skulicz, urzędnik kasy oszczędności w Samborze, włożył tabelaryczny wykaz bilansów kas oszczędności w Galicyi, za rok 1886. Z sumiennej tej pracy przytoczę kilka szczegółów, mogących interesować szersze koła. Galicya posiada ogółem 23 kasy oszczędności, a stan wkładek w tych wszystkich kasach wynosił w bilansie za rok 1886 łącznie 41,416,249 guldenów. Pierwsze miejsce zajmuje tu Lwów, z kwotą 16,135,396 gld., ostatnie zaś małutkie miasteczko Ropczyce, mające wkładek 64,487 guldenów. Fundusze rezerwowe wszystkich kas wynoszą razem 3,650,976 guld. Zysk z obrotu funduszy powierzonych tym kasom, przyniósł w r. 1886 poważną sumę 270,097 guld.

Z powyższych cyfr okazuje się, że galicyjskie Kasy oszczędności posiadają dość znaczne kapitały, a jeżeli dodamy to, co publiczność wiejska lokuje w pocztowych kasach oszczędności, to się okaże że pieniędzy mamy w tych instytucjach najmniej 50 milionów guldenów. A ile ich leży w rozmaitych bankach i w prywatnych kasach ogniotrwałych? Zaiscie smutno pomyśleć, że choć kapitały są w rękach, ruszyć się jednak nie mogą, gdyż rząd naszym przemysłem wcale się nie opiekuje.

Wydział krajowy wydał sprawozdanie z zarządu fundacji „Macierz“ za r. 1886. Dochody tej instytucji, prócz kapitału zakładowego, wynosiły w tym roku 7,221 gld. z których wydano: na kosztą druku własnych wydawnictw i honorarya autorskie 4,480 gld., na zasiłki naukowe dla dzieci niezamożnych rodziców 500 gld., reszta zaś na administrację i inne potrzeby. W rubryce dochodów widzimy, że dochód z rozprzedanych książek przyniósł 1,103 gld., a więc ledwie czwartą część tego co na nie wydano. Ilekroć myślę o „Macierzy“ mimowoli przychodzi mi na pamięć bon mot Kollataja, który gdy do Krakowa zjechał w zamiarze zreformowania uniwersytetu Jagiellońskiego, na

ku, z wszystkich stron poduszkami podparty, i okiem szklącem wpatrywał się w narzeczoną, która uszczęśliwiona jego polepszeniem, udając wesołość, uśmiechała się do niego, mimo że jej serce kurczyło się pod naciskiem bólu.

— Będzie dobrze, panie Julianie — mówiła — ręczę; tylko trzeba spokoju. Musisz mnie więc słuchać bezwarunkowo.

— O, będę, będę słuchał! — odrzekł chory, biorąc rękę Wandzi, aby ją do ust podnieść.

— Tylko bez tych poruszeń gwałtownych, panie Julianie. Wolę sama panu rękę podać.

I dotknęła ręką jego ust rozpalonych, a on ją całował długo, gorąco.

— Obecność twoja, panno Wando—szepnął—zbawienie wpłynie na me zdrowie, i jeżeli mnie nie opuścisz, wierzę, że wyzdrowieję! Gdyby nie ta krew, której widocznie mam zawiele, to czuję się tak dobrze, że nie wahałbym się zaraz wstać z łóżka.

— Byle niezbyt prędko, panie Julianie—odrzekła—bo mógłbyś sobie tem zaszkozić! Trzeba słuchać lekarzy i mnie...—dodała, grożąc mu palcem figlarnie. Przecie dziś zależy pan nie tylko od siebie, bo i nie dla siebie jednego żyjesz...

— Prawda, prawda, Wandziul... ja żyję i chcę żyć przedewszystkiem dla ciebie!

PRZEZ DOLINĘ ŁEZ.

POWIEŚĆ
Józefa Rogoza.

(Dalszy ciąg.)

XLIX.

W pokoju wysokim i przestronnym, w którym wszystko jeszcze świadczyło, że ten, kto w nim niedawno zamieszkał, dopiero zaczął się urządzać, na łóżku w rogu stojącym, leżał Julian. Od przyjazdu jego do domu, nie minęła jeszcze doba cała, a wybuchy krwi powtórzyły się już siedm razy z rzędu. Wandzia, przyjechawszy z ojcem w kilka minut po widzeniu się z sir Wiliamem, nie opuściła go na chwilę i od dwudziestu godzin, jak prawdziwa siostra miłosierdzia, nie śla mu pomocy i otuchy dodawała. Storch i pan Wybicki siedzieli nieopodal, a dwaj lekarze, z których jednego Storch sprowadził, drugiego anglik przysłał, czynili nadludzkie wysilenia, by odpływ krwi powstrzymać. Nakoniec przecie im się to powiodło.

Julian blady, z twarzą zapadniętą, tak go zmęczyła w ciągu jednej doby ta choroba gwałtowna, siedział na łóż-

uwagę jednego z profesorów, że ten uniwersytet jest dzieckiem Sorbony paryzkiej, rzekł z uśmiechem: „Istotnie, dziecko to bardzo przykądne, bo ani dobrze ani źle o niem nie mówią“. Jota w jotę możnaby to samo o „Macierzy“ powtórzyć. Nikt o niej nie mówi, nikt się nią nie interesuje, a ona sama śpi. Dla czego jest tak, a nie inaczej o tem obszerniej napiszę w jednym z następnych listów.

We Lwowie toczy się dość już długo proces przeciw żydowi Rappaportowi, który przez długie lata oszukiwał skarb, sprowadzając towary bez cła. Jegomość ten tak był dowcipny, że założywszy sklep jeden we Lwowie, drugi w Wiedniu, do tego drugiego sprowadzał towary via Lwów, gdyż transport acz podwójny, zawsze go mniej kosztował niż cło, któreby miał zapłacić. Często na jednej posyłce zyskiwał w ten sposób 1,000 guldenów. Do nazwiska Rappaportów musi być jakiś fatalizm przywiązany, gdyż niedawno jeden z nich zbankrutował w Wiedniu, drugi, jako doradca Lenderbanku, tak znakomicie orznął na pożyczce Serbów i króla Milana, że dziś cały wschód drży na samą wzmiankę o Lenderbanku, trzeci zaś stoi teraz przed sądem we Lwowie.

Skoro mowa o naszych najserdeczniejszych, — nie zaszkodzi jeźli się dowiedzie, że w Wiedniu aresztowano niedawno członka redakcyi Wiener A legemeine Zeitung, żyda Ehrenfelda, który grożąc niejakemu Smithowi ogłoszeniem skandalicznych epizodów z jego życia, usiłował na nim wymódz okup w kwocie 3,000 guldenów. Mimowoli przypomina to przygodę naszego prezaccnego d-ra Biegeleisena. Nie udało się jednak i szanowny Ehrenfeld poszedł do kozy. Nie wspominałbym o tym jegomościu, gdyby nie okoliczność, że ciekawy ten panicz bawił w Galicyi podczas pobytu arcyksięcia jako sprawozdawca dzienników wiedeńskich, a nawet przez lwowskie Koło literackie był na uczcie wspaniale podejmowany! Niech to dla lwowskich literatów będzie raz na zawsze przestroga żeby dla byle żydka nie dawali obiadów i nie wnosili toastów na jego cześć!

Pour la bonne bouche jeszcze jeden fakcik charakterystyczny.

Niedawno temu w malutkiem miasteczku Dynowie, w którym godność burmistrza sprawował p. Mendel Landau, bogaty kupiec miejscowy wyznania mojżeszowego, został założony sąd pierwszej instancyi. Podczas uroczystego otwarcia, pan burmistrz, oglądając więzienie, rzekł: „Ciekawym, kto też tu będzie pierwszy siedział?“ Nazajutrz, przyszła depesza od jeneralnego prokuratora ze Lwowa, nakazująca sędziemu uwiezić p. Landaua, jako oskarżonego o oszustwo. Odtąd sąd dynowski trzyma pod kluczem p. burmistrza, ten zaś, niewątpliwie, przeklina ową chwilę, w której tak nieopatrznie — wywołał wilka z lasu.

Rolarz.

Nie obraziła jej ta poufałość, przeciwnie, twarzyczka pięknej dziewczicy rozweseliła się teraz bardziej naturalnie, i chyba rumieniec, który na niej zakwitł i oczy ku ziemi spuszczone zdradzały, że Julian pierwszy raz dopiero „ty“ jej powiedział.

— Wiesz pan com zrobiła?—odezwała się po chwili.— Oto siebie i ojca sprowadziłam do tych ostatnich pokojów, które kazalesz pan wyrestaurować, ponieważ za daleko byłoby nam chodzić do pana, a chorego nie godzi się przecie zostawiać na łasce jednego sługi, choćby nawet tak wierne-go jak Wojciech.

Julianowi wzrok się rozpromienił.

— Więc uczyniłaś, o co cię chciałem prosić, lecz nie śmiałem... Dzięki ci, Wandziu, dzięki!

I dwie łzy duże pojawiły mu się w oczach. Wandzia musiała dobyć sił wszystkich, by się w głos nie rozplakać.

Podczas gdy narzeczeni tak z sobą rozmawiali, jeden z lekarzy, człowiek już siwy i, o ile z zachowania się jego można było wnioskować, biorący swój zawód bardzo sumiennie, wziął pana Wybickiego pod ramię i poszedł z nim do pokoju przyległego.

— Niech mi pan dobrodziej za złe nie weźmie — przemówił—jeżeli prawdy nie będę obwijał w bawełnę. Widząc, że ten młody człowiek pana dobrodzieja zblizka obchodzi,

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Paryż żydowski i społeczeństwo francuskie.

(Dalszy ciąg.)

Trudno zresztą o coś bardziej interesującego jak historia tak znakomitego rodu, złożona jedynie z dokumentów i listów własnoręcznych. Widzimy w niej wiek za wiekiem przeobrażania szlachty. Wasal traktuje króla prawie na równi z sobą, pożyczka mu pieniędzy na zaciąg wojsk, w celu odparcia Anglików. Jeden z Talmontów umiera pod Marignan, jeden z la Trémoille'ów ginie pod Pawią, przy boku Franciszka I, poniósłszy trzydzieści siedm ran. Stosunki księcia de la Trémoille z Henrykiem IV pozostają jeszcze na stopie przyjacielskiej; król pisze do swego wiernego towarzysza broni, tłómacząc mu powody swego nawrócenia. Potem szlachta rycerska zostaje szlachtą dworską; chodzi już tylko o wstążeczki niebieskie i o gubernatorstwa, a w przeddzień Rewolucyi, Marya Antonina pisze do swej kuzynki, przyrzekając jej jeden z takich faworów. Książę Talmont, jak wiadomo, bierze zaszczytny udział w wojnie wandejskiej. Z wyrafinowanym okrucieństwem przywożą go z Rennes do jego zamku Thonars, aby go tam gilotynować. Po egzekucyi, wieśniacy których rodzina w ciągu wieków obsypywała dobrodziejstwami, tańczą do koła głowy zatkniętej na pice, śpiewając:

Monsieur de la Trémoille
Mouille!
Monsieur de la Trémoille
Mouillera.

I patrzcie jaki, to kontrast! Ten człowiek który tak dba o swój ród, który, podobny do tych rycerzy, co naprzód przygotowywali sobie grobowiec w którym mieli spocząć po śmierci, wznosi rodzinie swej godny jej monument, jest stałym stołownikiem tych frankfurckich obrzaczny dukatów, zubożonych na wiadomych spekulacyach.

Widząc tak nisko upadłego potomka tyln konetablów, książąt i parów, wielkich i dumnych panów, przypomniałem sobie „Dux'a“ którego Cladel napisał za radą Baudelaire'a. Ten romansopisarz o stylu wymuszonym nie jest wcale lada kim. Inni nie zajmują się nigdy tem, z kąd pochodzi osobistość którą wyprowadzają na scenę; jest to jakiś przechodzień, który się zjawia niewiadomo z kąd. Cladel przeciwnie przedstawia przedewszystkiem pochodzenie swoich

pczuwam się do obowiązku uprzedzenia pana, że z nim jest źle...

— Żle?—powtórzył pan Wybicki oddech wstrzymując.

— Nawet bardzo źle... on żyć nie będzie.

— Konsyliarzu! co mówisz?

— Niestety, mówię prawdę! Już tyle krwi utracił, płuca ma tak zaatakowane, cały organizm do tego stopnia stopnia wstrząśnięty, że ratunku nie widzę dlań żadnego. Tu chyba tylko cud mógłby pomódz...

— Konsyliarzu! przecie to człowiek jeszcze młody, pełen sił!

— Tem gorzej dla niego że młody... gdyby był starszy, możnaby go łatwiej ocalić. W dodatku mamy Marzec. Straszny to miesiąc dla suchotników.

— Więc pan sądzisz, że on ma suchoty? — zapytał pan Wybicki z przerażeniem.

— To najmniejszej nie ulega wątpliwości — odparł lekarz. — Nie miałem czasu badać, lecz zdaje mi się iż musi pochodzić z takich rodziców. Szczęście jeszcze jego że dotąd wiódł życie skromne, inaczej, byłby już dawno pożegnał się z tym światem. Teraz musiało mu zaszkodzić jakieś wstrząśnienie gwałtowne, które potargało mu w płucach naczyń krwionośne.

Pan Wybicki wysłuchał tych słów okropnych, jak własnego wyroku śmierci. Przyłożywszy głowę do szyby,

bohaterów, on wie że celt, german, gallo-rzymianin nie a nie nie są do siebie podobni, zna on siłę tej tradycji, co wcieli się może w człowieka prawdziwego francuzkiego temperamentu, który ocali Ojczyznę, gdyż nie raczy nawet dyskutować nad deklamacyjnymi gruchaniami puszczanemi w obieg przez prasę wolno-mularską i żydowską.

Dux jestto najstraszniejszy woźnica, jaki kiedykolwiek włóczył się po ulicach Paryża, wśród śniegu i deszczu, ze zdrowiem żelaznym, z pragnieniem nieugaszonem, z zuchwałstwem nieporównanem; ma on wstręt do mieszczańina, odgaduje go instynktownie, obrzuca go obelżywemi nazwami, poniża go, mówiąc mu: ty arogancie, samotnie włóczy się po mieście, a bacznym spostrzegacz, w tym automedonie, mniej grzecznym niż jego konie, poznaje potomka dawnych panów o orlim nosie, wyrodzony typ pana feudalnego.

Gdyby mu zostawiono wybór, kto wie czy Dux nie byłby wolał żyć swobodnie wśród woźniców, aniżeli meblować salony Rotszyldów.

Dla pewnej części szlachty, dom Rotszyldów gra rolę, jaką niegdyś grał królewski dom francuzki. Dziwaczne i ciekawe są losy tej rodziny, której poświęcimy później osobne studium, a która tak ściśle związana jest z dziejami tego wieku. Dzisiaj dotknijemy strony życia jej w świecie. I tutaj Rotszyldowie długi czas walczyć musieli. Przed czterdziestu jeszcze laty, arystokracja skakała z oburzenia na samą myśl dopuszczenia żydów do swego towarzystwa.

Wspominaliśmy już o wymownem a lekceważącym: *fi done!* księżnej Angoulême; trzeba było poruszyć całą dyplomację europejską aby uzyskać nie już przypuszczenie Rotszyldów do kół dworskich — wszyscy szambelanowie na taką propozycję byliby złożyli swoje klucze, — ale pozwolenie aby im wolno było pojawiać się w Tuilleryach w dniu tłumnych przyjęć oficjalnych. Odźwierny, oburzony takim zuchwałstwem, trzy razy, wypraszał ich za drzwi, oni zjawiali się trzy razy, zawsze z uprzejmym uśmiechem.

Autorowie dowcipnego dziełka, które się ukazało w r. 1826 p. t. „Biografia dam dworu i przedmieścia s. Germana“, opowiadają szeroko i długo ten epizod z czasów Restauracji. Ich wizerunek baronowej Estery Rebeki de Rotszyld, mógłby bez ujmy figurować obok niektórych szkiców Tallemant'a des Reaux.

„Jedną z nowoczesnych znakomitości starożytnego Syonu: żona, córka i siostra uczciwych izraelitów oddana czci złotego Cielca, sądziła że może, podobnie jak mąż jej, królów za pan brat traktować. Kazała zaprzadzić konie do powozu i kazała się zawieźć do Tuilleryów. Ale tam straszliwe rozczarowanie! — nie przyjęli jej.

„Dotknięta do żywego wróciła do domu; łyzy potoczyły się z jej oczów. Jeruzolimo! — zawołała — Jeruzolimo! co za obraza dla twego ludu. Wyprawiono w tej chwili kuryerów na wszystkie dwory niemieckie, aby je zawiadomić o tym wielkim wypadku. Królowie poruszyli się, poczęły się zbierać rady, dyplomaci poczęli rozprawiać. Metternich chwycił

za pióro, ambasador austriacki pobiegł do Tuilleryów, drzwi otwały się na oścież i nasza baronowa przekroczyła próg sali marszałków. Wtedy radość powstała w Izraelu! góry poczęły skakać jak barany, pagórki jak małe jagnięta. Harfy: które drzemały zawieszane na wierzbach nadbrzeżnych, zadrgały na nowo pod palcami córek Syonu, a lud żydowski święcił powtórnie niby przejście przez morze Czerwone.

A *propos* morza Czerwonego, czy wiecie że to jest kolor, który nasz Krezus obrzezany najbardziej lubi, i że on w mundurze czerwonym, ze szlifami pułkownikowskimi, (1) pojawia się zwykle na naszych uroczystościach narodowych? Jego wierna Rebeka, wybrana jego serca, anioł jego uczuć, towarzyszyła mu na ostatnim balu w ratuszu. Ta perła izraela, która może mieć lat dwadzieścia ośm, umieszczona została we framudze okiennej, między dwoma dyamentami chrześcijańskimi tak czystej wody, że pochłaniał wszystkie jej blaski.“

Te uczucia wstrętu przetrwały bardzo długo. W roku 1876 chciano urządzać bal na cześć przybycia do Badenu pewnego monarchy. Do ułożenia szczegółów balu zamianowano trzech komisarzy, a między nimi pana Maurycyego Haber. Dwaj drudzy nie chcieli mieć za kolegę żyda, chociaż tym kolegą był p. de Haber, najbogatszy bankier koloński, spokrewniony z rodziną jednego z marszałków francuzkich, z rodziną Grouchy. P. Haber posłał sekundantów. Komisarze odmówili pojedynku i przyjęli dopiero wyzwanie jednego z jego przyjaciół.

„Najciekawsze w tej sprawie to — mówią „Archiwa izraelskie“ z których bierzemy tę historję — że p. Haber, lubo zięć p. Wornesa z Romilly, prezesa konsystorza centralnego, nie należał już do judaizmu, ale do wyznania protestanckiego.

Upór żydowski, cierpliwość w znoszeniu afrontów i udawaniu nawet że się ich nie spostrzega, postawiły na swoim. Stary James Rotszyld wszedł w towarzystwo jako bufon; umiał bawić; kazano mu bezustannie powtarzać jego sławną szaradę:

— Moje pierwsze ma zęby, moje drugie ma zęby, moje trzecie ma zęby, a wszystko razem jest brzydką wodą.

— Znaczenie! znaczenie szarady! — wołano zewsząd.

— *Chalousie* (1) — odpowiadał z tryumfem baron.

Opowiadano sobie do wiary niepodobne rysy jego skąpstwa. Któż nie zna historii tak często przytaczanej. Pewnego razu do Dumasa ojca przyszedł ktoś z przyjaciół prosząc go o pożyczkę pięciuset franków. Znakomity pisarz był bez grosza; sprawa jednak była nagła, chwycił więc pióro i pisze do barona list błyszczący dowcipem, prosząc go o pożyczkę dwudziestu pięciu luidorów. Miliarder nie raczył nawet odpowiedzieć.

1) Ma to być *jalousie*, zazdrość, a trzy przedmioty opatrzone zębami, mają być: *chat*, kot — *loup*, wilk i *scie*, piła. Pr z y p. t ł o m .

stał przeszło pół godziny aby zebrać odwagę która go opuszczała. On bał się, aby Wandzia, z wyrazu jego twarzy, nie domyśliła się okropnej tajemnicy, która wkrótce miała się urzeczywistnić. Był pewny że się uspokoił, tymczasem, gdy wszedł do sypialni chorego, mimo że obojętność, nawet wesołość udawał, bystre oko Wandzi, które ojca oddawna wyglądało, wdarło się przemocą do jego wnętrza, aż tam, gdzie smutna prawda była ukryta, i odczytało ją, niestety! Z obecnych, nikt się atoli nie domyślił, co się działo w sercu biednej Wandzi. Mówiąc do Juliana, była ciągle uśmiechnięta, wesoła...

Począwszy od dnia tego, każdy z następnych był coraz smutniejszy. Julianowi, zamiast się polepszyć, jeszcze się pogorszyło. Wprawdzie, wybuchy krwi stawały się coraz rzadsze, zato pojawiła się gorączka, która chorego w oczach obecnych trawiła. Spadał z ciała, smętniał, gasnął.

Wandzia prawie nic nie jadła i nie spała, tak była zajęta staraniem około chorego, a siły jej nie opuściły. Owszem, im słabszym on się zdawał, tem silniejszą ona się okazywała. Przez dni czternaście na krok go nie odstąpiła.

Czternastego dnia wieczorem, chory i ona byli sami. Lekarze tylko co odeszli; Storch był jeszcze w sklepie; Wojciech udał się do apteki, a p. Wybicki, znużony długiem czuwaniem, drzemał w drugim pokoju. W sypialni było na

pół ciemno, światło bowiem lampy, zieloną umbrelką okrytej, rozlewało skąpy blask dokoła.

Chory, którego oblicze było już pargaminowe, patrzył na Wandzię, obok łóżka siedzącą.

— Przypominasz sobie Wandziu — zapytał — tę zeszłoroczną wyprawę na raki?

— Ach! pamiętam, jakby to wczoraj było!... Wszak wtedy pierwszy raz rozmawialiśmy z sobą.

— Mam nadzieję — mówił Julian znowu — że to lato będziemy mogli na wsi spędzić... koniecznie musimy gdzieś wyjechać. Gdy to nastąpi, będziemy sobie przypominali zeszłoroczną naszą zabawę, nieprawdaż?

— O! tak, tak, byle z tobą! — szepnęła Wandzia, za rękę go biorąc, na którą gorąca jej łyza upadła.

Mustał tę łyżę odczuć, skoro rękę podniósł i łyżę rozpalonemi piłł ustami.

— Wandziu! — przemówił po chwili — czemu ty kiedy dłużej nie odpoczniesz? Wszak za dwa tygodnie nasz ślub, a jabym nie chciał by panna młoda była mizerna... Tyś powinna odpocząć... ty się zanadto męczysz...

— Nie, nie, mój drogi, ja nie jestem zmęczona.

— Jeżeli mnie kochasz, Wandziu, uczynisz to dla mnie, i dziś się położysz... Ja czuję że tej nocy będę spał dobrze... sen mnie pokrzepi... i przekonasz się, że jutro będzie mi znacznie lepiej... O! ja jestem pewny, że dobrze za-

W jakiś czas potem przy ulicy Lafitte mówiono o autografach.

— Więc to takie papiery mają jaką wartość?—zapytał baron.

— To zależy.

— Ja tu mam taki papier, pokażę państwu.

I przyniósł list Dumasa. Ofiarowano za niego od razu dziesięć luidorów, które wziął naturalnie.

Dumas pomścił się potem w sposób dowcipny. Pewnego razu, na balu dobroczynnym, kwestowano, i jedna z kwesterek podsunęła puszkę baronowi.

— Już dałem — rzekł finansista.

— Nie widziałam — odrzekła dama — ale wierzę.

— A ja — rzekł Dumas — widziałem, ale nie wierzę.

Nawet współwyznawcy barona potępiali jego chciwość. „Archiwa izraelskie“ opowiadają, jaką nauczkę dał mu Markus Prague, jeden z rabinów żydowskich. W dzień Yom-Kipur, James Rotszyld przeznaczony do wyjęcia *Sefer'a* z arki, prosił Markusa Prague, żeby mu potrzywał książkę do nabożeństwa. Spostrzegłszy, że Marcus z zajęciem przypatruje się księdze bogato oprawnej, rzekł:

— Zdaje się że mój *muchsor* podoba się panu; ile mi pan za niego dasz?

— Jakto, panie baronie — odrzekł Prague, który był żydem nabożnym — w takim miejscu i w taki dzień jeszcze pan chcesz handlować? ...

Szorstkie odprawy, jak to już powiedziałem, nie odejmowały mu odwagi. Arsen Houssaye, który był obecny przy tej scenie, opowiadał jak ładnie Musset skarcił barona, który się był wśliznął do cesarzowej gdzie czytano *Ane et Ruisseau*.

Innym razem d'Orsay dał mu nauczkę. Jednego dnia grając w wista w pewnym salonie, finansista upuścił luidora na ziemię. Porwał zaraz świecę ze stołu i dalej szukać swoich dwudziestu franków.

— Dajże pokój, mój kochany, — rzekł d'Orsay — ja ci poświęcę — i zapaliwszy u świecy banknot na tysiąc franków, pomógł baronowi do odszukania luidora.

Za naszych czasów Rotszyldowie naraziliby się jeszcze na coś podobnego, gdyby się zetknęli z pisarzem, który zachował uczucia dawnej dumy, ale nie potrzebują się lękać spotkania z d'Orsay'em wśród arystokracji.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ideaty belletrystyki pozytywnej.

(Dalszy ciąg.)

Daremnie szczebiocze jaskółeczka, szlachcic nie chce pierwszy iść z poczciwym don Kiszotem w zawody, nie chce

sne!... Idź więc, Wandziu, idź... a na dobranoc pozwól się w czoło pocałować...

— Pochyliła się nad nim, i on na jej czole bladym złożył pierwszy, gorący pocałunek.

— A ty mnie nie pocałujesz? — zapytał.

Pocałowała go także w czoło.

— Dziękuję ci, moja droga!... — szepnął. Po tym czystym, siostrzanym pocałunku, lepiej spać będę... Ale i ty idź, połącz się!... Słyszę, że Wojciech wrócił... On i tak niewiele sypia, bo już bardzo stary... więc będzie przy mnie czuwał... Zresztą, mnie lepiej... znacznie lepiej... i jeżeli jutro będzie tak samo, to bardzo być może iż pojutrze wstanę... Dobranoc Wandziu, dobranoc...

Raz jeszcze w czoło ją pocałował, piękną jej głowę przycisnął do swojej piersi, a potem odwrócił się do ściany, chcąc usnąć. Wandzia, widząc to, wyszła cichutko, na palcach, do swego pokoju. Dopiero tu, gdy padła na kolana, lzy długo wstrzymywane rozlały się strumieniem i chwilową ulgę jej przyniosły, poczem modlitwa głęboka, gorąca, wypłynęła z dziewiczego jej serca.

O północy weszła cichutko do sypialni chorego, przy którym Wojciech czuwał, jak żołnierz na czatach. Julian spał; lekko, jak motyl kwiatu, dotknęła ustami jego włosów, poczem wróciła do swego pokoju. Położyła się, aby odpocząć, usnąć jednak nie mogła. Serce w piersi młotem ude-

być nauczycielem brudnych pastuszków, wziąć książkę i siadłszy na trawie, kształcić z niej ludek, jak bakałarz.

Czy wszakże pani Konopnicka nie widziała nigdy panianek dworskich, dzielących się skąpą wiedzą swoją z nboższymi od nich na duchu?

Nie ulega wątpliwości, że musiała kiedyś być świadkiem, tu i owdzie, w tym kierunku usiłowań, lecz autorka postępowania... nie może mieć oczu tam, gdzie jej doktryna nie pozwala.

Jak wszyscy pisarze skrajno-tendencyjni, grzeszy p. Konopnicka w swych „obrazkach“ jednostronnością, uogólnianiem pojedynczych faktów.

Nikt nie zaprzeczy, że zdarzają się wypadki przez nią ilustrowane, że bywają Jaskowie, którzy umierają z głodu, a Jasienkowie, którym nie dzwonią dzwony, że pewna część ogółu nie rozumie dotąd znaczenia oświaty ludowej, ale z głodu i zimna konają także niechłopskich rodów potomkowie, bez pogrzebu obywają się nieraz spadkobiercy lekkomyślności magnackiej, a od książki i zasad demokratycznych stronią najczęściej sami wieśniacy.

Ale bo też nie jest bynajmniej zdrową muza p. Konopnickiej.

Nie przyswieca jej żadna gwiazda przewodnia, na końcu jej „wstęgi, utkanej z łez i z tęsknot“, nie błyszczą żaden cel jasny, dodatni.

P. Konopnicka nie wypieściła w sercu swoim żadnego ideału, któryby królował jej nad chaosem jej „rozdartych“ wyobrażeń i pragnień, zaprowadzając w nich ład, przejrzystość. Porwała ją burza i uniosła „przez wieków podmuchy, w wiecznej pogoni za widmem znikomem, w namiętych marzeń i porywów szumie“. Przeto musi „latać, jako zakłęte duchy, po nad tą ziemią, która jest jej domem, i wiecznie się smucić, i tak się trawić, jak płomień skrzydlaty“... Zakryte są przed nią tajemnice szczerego zapału, prawdziwych natchnień źródło, z którego płynie świadomość dla poety.

Byliśmy wprawdzie kiedyś wszyscy „tytanami“, przechodziliśmy wszyscy w pierwszej młodości Odę filozoficzną, ale życie nauczyło nas nie wojować z niewidzialnymi potęgami. Rodzina, kraj, obowiązki obywatelskie, wyparły z serc naszych owe „szerokie“ boleści, które wywołują jedynie wtedy zupełne złudzenie, gdy szarpia piersi na miarę Fidasza zbudowane. W ustach talentu niższego rzędu, brzmiały te bezustanne skargi złodźwiecznie.

Co dziś pewne, co niezachwiane, niezłomne, prawdziwe?—pyta p. Konopnicka, której za ciasno wśród własnych ścian, nie dobrze na swojskich, ubogich śmieciach.

Jej potrzeba dalekiego lotu, szerokich widnokręgów — świata, zamiast... ziemi przodków.

Romantycy nie troszczyli się o „wiedzy zdobycze“, nie zastanawiali się nad „koniecznością braterstwa ludów“, nad hasłami tajemniczymi, które „wyleczą kiedyś ziemię z jej ran i jej cieni, nie marzyli o „uscisku“, co kiedyś świat

rzało, myśli chaotyczne, straszne, mózg jej szarpały. Usiadła na łóżku. Patrząc w przestrzeń ciemną, przypomniała sobie matkę, którą tak tragicznie straciła na obcej ziemi, — i poznanie z Julianem — i miłość ich późniejszą — i nieszczęście terażniejsze! Czuli, że jemu źle, coraz gorzej, ale ludziła się jeszcze, jak ludzi się każdy, kto nie chce przypuścić by mógł go przygniść ogrom takiego nieszczęścia. Złudziła się, ale tam, w głębi, coś jej szeptało głosem bezlitosnym, złowrogim: Nie ludy się, jego godzina wybiła!...

— Boże! — jęknęła Wandzia z głębi duszy, na posadzkę się zsuwając — Boże! jeżeli raz jeszcze i tak okropnie zechcesz mnie doświadczyć, użyj mi przynajmniej siły i odwagi bym moim losom nie zlorzeczyła!

W chwili gdy ta skarga wyrwała się z serca, które pękało pod naciskiem boleści niezmiernej, Julian wydał tchnienie ostatnie...

L.

O Wiliamie Ellington wszyscy zapomnieli. On tymczasem, chociaż się nie narzucał, chociaż do mieszkania chorego, ani na chwilę nie zajrzał, wiedział codzień jak się ma narzeczony Wandzi, i lubo w cichości z nią razem cierpiał.

Na dzień przed pogrzebem Juliana, ostrożnie, aby go kto w sieniach lub na schodach nie spotkał, wszedł do kamienicy, w której mieszkał nieboszczyk, a zatrzymawszy się

połączy i o drobnych iskierkach skrzęsanych przez dzieje, z których roztleje ognisko ludzkości—romantycy nie byli... obywatelami świata, jak p. Konopnicka, jeno swej krajiny synami i dla tego wydobyli ze strun lutni swoich tyle dźwięków potężnych, a nieśmiertelnych.

Poezya ostatniej epoki zwyrodniała i oto powód, dla czego przestała być swego narodu kochanką.

Bo i Asnyk nie jest piesniarzem polskim, i niższego rzędu „wieszczowie“ odwrócili się twarzą od swego ludu, zapatrzeni w... ludzkość. Daleka to jeszcze dziś meta...

P. Konopnicka twierdzi, że „można wytrwać mężnie i dostojnie w największej własnych uczuć i porywów wojnie“.

Nie wytrwała jednakże... bo oto w chwili szczęśliwej wydała sama wyrok na swoją i towarzyszków swoich poezję („Fragment“, serya pierwsza).

Skarżycie się że nie ma śpiewać komu
 Że zagłuchł świat, do złotej biegnąc mety;
 Że w posród burz i krwawych walk gromu,
 Bez celu drży znikoma pieśń poety.
 Lecz gdzież jest pieśń, co czarów swych potęgą
 Przykuwa słuch lecących w bój szermierzy,
 Oltarzem jest, świętością i przysięgą,
 Przez którą duch, zwątpiwszy nawet, wierzy?
 Lecz gdzież jest pieśń, z marmuru wyrzeźbiona,
 Jak biały Bóg, co nocy cień zwycięża? ...
 Gdzie jest ta pieśń, co błyszczy, jak korona,
 Słonecznych zórz, na jasnym czole męża?
 Lecz gdzież jest pieśń, co, jako młot olbrzyma,
 Z surowych skal wykuwa dzieło ducha?
 Gdzie jest ta pieśń, co berło prawdy trzyma,
 Pada jak grom, a jako pożar bucha? i t. d.

Tej pieśni niema już dawno. Nie wyśpiewał jej żaden z poetów współczesnych, a najmniej p. Konopnicka.

W trudnem znalazłby się położeniu, ktoby chciał sformułować filozofię autorki różnych, dramatycznych i niedramatycznych „Fragmentów“. Czemże ona właściwie jest?pozytywistką, ateistką, materyalistką, konserwatystką? Wierzy „w potęgę wiedzy“ i nie wierzy, — oskarża Boga i korzy się przed Nim, prawi o przyrodzie, która „sił swoich nigdy nie roni, ale je w wiecznym utrzymuje ruchu“ („Nie skarż się“) i majaczy jak najpowiewniejsza romantyczka, — płacze nad niedolą maluczkich, i wychwala się lankę cichej wioski.

Mimo to nie omylili się „postępowcy“, zaliczając p. Konopnicką do swego obozu. Z pod haosu idei, frazesów, wykrzykników, z pod szumu słów, wyziera oblicze poetki, wychowanej w zasadach „nowoczesnych“ i przyznającej się do nich, ilekroć jej pesymizm nie przesłania wzroku. P. Konopnicka nie lubi chrześcijaństwa, katolicyzmu, przeszłości i szlachty, jak liberał mieszczkański, a jak „ludowiec“ fazy

w ciemnym rogu sieni, spojrział przez drzwi otwarte do pokoju śmiertelnego.

Na wysokim katafalku, leżał młodzieniec w kwiecie wieku; w jego głowach stary Wojciech pacierze odmawiał—naprzeciwko siedział p. Wybicki, przyciskając do piersi głowę Wandzi, która już dawno płakać przestała. Ojciec wyglądał teraz jak starzec stuletni, córka jak posąg boleści. Szczęśliwy, kto jeszcze płakać może — ale biada temu, w czyjem oku wyschnie łez źródło!...

Sir Wiliam przypomniał sobie, że obraz podobny widział przed laty nad brzegami Gangesu, gdy wróciwszy z polowania, zastał żonę pana Wybickiego na katafalku, a Wandzię płaczącą na piersiach sędziwego księdza Marketta. Chwilę patrzył na ten obraz bolesny, potem łzę otarł, westchnął, raz jeszcze spojrział na Wandzię, na zmarłego i wyszedł na ulicę.

Pocziwy anglik tak był wzruszony, że zamiast, według zwyczaju, wziąć dorożkę i do domu wrócić, szedł pieszo, krok za krokiem, nie wiedząc gdzie i po co, aby trochę myśli rozerwać i odzyskać równowagę. Minał ulicę Stryjską, znalazł się obok stawu Pełczyńskiego, a minawszy kościół Maryi Magdaleny wszedł na drogę, szeroką, prowadzącą tędy przez Nowy-Świat do głównej stacji drogi żelaznej. Nieopodal ulicy Grodeckiej, w mniejszu gdzie dziś stoi cały szereg kamieniczek jednopiętrowych, widać wtedy

najnowszej, skarży się nad niedolą: Jaśków, Wojtków, Kasię i t. d. Gdyby nie ten wewnętrzny rozdźwięk, który zamąca harmonię jej pieśni, gdyby nie ten „weltszmerc“ pozytywny, różniący się tem od romantycznego, że spowodowały go przeważnie nie moralne, lecz materyalne nierówności życia, gdyby w końcu nie zupełny brak porządku w jej wierzeniach i przekonaniach — miałyby niewątpliwie prawo do tytułu... wieszczki „reformatorów“ ostatnich lat dwudziestu pięciu. Tytuł ten jednak, choćby go cechowi przyjaciele p. Konopnickiej bez zastrzeżeń przyznali, nie zapewniłyby jej pewnego uznania, gdyby nie rzeczywisty talent poetycki, z którym na świat przyszła.

Głównie pieśni ludowe pani Konopnickiej odznaczają się śpiewnością wiersza. Być może, że przypominają tu i owdzie innych „lirników“, że nie są bezpodzielną własnością swej twórczyni, lecz któż dziś nową wynajdzie formę? Prawie wszystko, co się w tym kierunku dało zrobić, uczynili już romantycy. Szkoda więc że działalność p. Konopnickiej przypadła na epokę, nieprzyjazną idealniejszym na życie poglądom. „Trzeźwe“ cele nie mogą natchnąć nikogo do pieśni wspaniałej. W tej chłodnej atmosferze musi się każdy talent poetycki zwarzyć, jeżeli nie chce zejść na barda uczuć i czynów filisterskich.

KRUPNIK I PRASA.

(BAJKA).

„Słuchajno, Magda!“ — Tak do swojej żony,
 Co się po izbie krzątała,
 Rzekt raz Bartłomiej w misce zapatrzony.
 „Czyś ty mi dzisiaj jeść dała,
 Czy pić? Patrz jeno jaka to rzadzizna...
 Patrzaj...“ I, myśląc że mu rację przyzna,
 Łyzkę drewnianą chwycił garścią całą,
 Potem zanurzył ją w rzadkim ukropie
 I wzniosł do góry; — z łyżki się polało;
 Więc baba krzyczy: „Nie wydziwiał, chłopie!
 Patrzcie go! — jakiś! — rzadzizna! — Ty, łyku!
 Nie chcesz, to nie jedz, a nie niszczy krupniku?“
 „Co? To jest krupnik? Magda! — a gdzież z niego
 Kasza uciekła? Ty ehyba do garnka
 Ani jednego nie wrzuciłaś ziarenka...“
 „Ej! — nie wrzuciłam? — nie? — ani jednego?
 Na, liczykrupo, rachuj!“ — „Porachuję!
 Raz... dwa... trzy... cztery... A co, już brakuje...“

Baba zła. Trudno, — prawda nie jest słodka.
 Tedy, by zemsty nie stać się przedmiotem,
 Proszę: jeżeli kto pewną... Praszę spotka,
 Niech jej przypadkiem nie wspomina o tem, —

było dużą budę z desek naprędce wystawioną, na której wiecha i różne napisy zapraszały przechodniów na kieliszek wódeczki, szklanek piwa, wina lub miodu. Była to szynkownia czysto kolejowa, w której zbierali się wieczorami robotnicy. W chwili, gdy anglik zbliżył się do tej budy, doleciały go z wnętrza wesole krzyki i śpiewy.

W nastroju, w jakim się znajdował, każde rozerwanie myśli miało wartość dla niego; nie namysławiając się więc długo, wszedł do szynkowni, a usiadłszy przy pierwszym stoliku, przy którym próżne miejsce zobaczył, kazał sobie przynieść pół butelki wina białego. Z obecnych nikt go nie poznał, zgromadzeni tu bowiem robotnicy pracowali nie przy kolei Czerniowieckiej, lecz Karola Ludwika.

W budzie przepełnionej dymem i różnemi wyziewami, były zebrane prawie wszystkie narodowości, z jakich się Austria składa. Oprócz języka polskiego, słychać było niemiecki, czeski, kroacki i włoski. Ten ostatni był najgłośniejszy, raz że tego wieczora zeszło się tu, jakby umyślnie, bardzo wielu włoskich kamieniarzy, powtóre, że włosi pijąc, lubią krzyczeć. Tuż obok sir Wiliama, siedziało ich pięciu przy okrągłym stoliku, i taka między nimi toczyła się rozmowa.

— Che di a v o l o z takim krajem! — jeden zawołał. Jak fundament przyjdzie zakładać, to jeszcze jednej stopy ziemi nie wyrzucisz, a już się woda pokazuje! (d. c. n.)

Ze jako w misce tej, bartłomiejowej,
Kaszy ziarenka utonęły cztery;
Tak w jej „organach“, wśród treści jałowej,
Tonie interes spółeczeństwa szczerzy.
Wszystkiem jest dla niej jeno polityka;
„Sytuacyami“ wciąż straszy;
O Niebie, chlebie, z lekka napomyka...
Czyż to nie krupnik bez kaszy?

Woj...ski.

NA POSTERUNKU.

Protesta w „Prawdzie“ przeciw jubileuszowi Papieżkiemu.— Kto ich słucha i kto im przyklaskuje? — Dobijanie się o uznanie w świecie złota i szwindlu. — Nowy zwrot w publicystycznej bzikologii pana Bolesława Prusa.— Co o nim mówi „Przegląd Katolicki“.— Zwijanie sztandaru „podporządkowywania“.— Głuche wieści o zlanii „Głosu“ z „Przeglądem Tygodniowym“.— Co pocnie biedny chłop? — „Fundusz wsparć“ na drodze Terespolskiej, czyli noże i brzytwy.

Nie pojmuję, doprawdy, co sobie ten świat katolicki myśli. Już od kilku tygodni, czy nawet miesięcy, dzielny nasz Mahdi z „Prawdy“ protestuje gwałtownie przeciw jubileuszowi Ojca Ś go Leona XIII go; w każdym numerze swego szacownego organu rzuca on pioruny, na owe „wsteczne owce papieżkie“, na ich „głupotę“, „naiwność“ etc. — i nic to nie pomaga. I na seryo wypadnie mi już chyba uwierzyć, że ani Europa, ani Azja, ani też żadna z pięciu części świata nie zginęłaby jeszcze, choćby w Warszawie nie istniała „Prawda“ pana Świętochowskiego, skoro go żadna nie słucha. On wrzeszczy swoje, a świat robi swoje, jakby sobie z piorunów ciskanych dłonią autora — „Błazna“ nic zgola nie robił.

Coraz też żałośniej skarży się p. Świętochowski z powodu tak jawnej ignorancyi jego oburzenia na to, co się w Rzymie, wbrew jego woli, dzieje.

„Ze Papież — woła on naprzykład (Nr. 47) — rozdaje szczerdże weksle na niebo (przez udzielanie błogosławieństw pielgrzymom) z rozmaitemi terminami (!), nie świat dziwnego; te obroty dają mu dochód i władzę; ale że świat przypatruje się tej komedyi z poważną miną — to smutnie!“

Zapewne, zapewne — i całe tylko szczęście, że w każdym smutku musi być zawsze jakaś odrobina pociechy, ma ją więc niezawodnie i p. Świętochowski. Zakamieniały w przesądach, ów świat chrześcijański nie poznaje się wprawdzie na jego posłannictwie, ale słucha go zato z uwagą i rozkoszą świat inny, świat geszefu i szwindlu, słucha go niemniej i ów półswiatek umysłowy, złożony z kantorystów, różnych żydków bezwyznaniowych, no i z emancypantek, wolnych... od wszelkich „przeżytych“ enót niewiestic. Ten świat i półswiatek pociesza niezawodnie swojego... bawiciela, darząc go bucznym i gorącym poklaskiem. Ten świat, rozbestwiony na głupstwie i skandalu, bije brawo i wrzeszczy: więcej, więcej, — o mistrzu! — takich koziołków, bezceństwa, cynizmu, boć one jedne zająć nas, podniecić i zabawić są zdolne, boć to woda na nasze główne koła. Pędź ją więc, o mistrzu, pędź dalej, a im więcej ludzi zdołasz obedrzeć z jakichś tam głupich pojęć o jakiejś tam moralności i enocie chrześcijańskiej, im więcej ich na wróćisz na wiarę „nowożytną“, tem większą zgotujesz nam pomyślność i tem większą będzie twoja, dla nas — zasługa!

Bądźmy jednakże sprawiedliwi: o zasługi takie, w świecie o jakim mówię, stara się nie jeden tylko przedsiębiorca „Prawdy“. Dobijają się o nie i inni jego towarzysze w zawodzie. Niedaleko szukając, i „Kuryer Codzienny“ zdradza również, coraz wyraźniej, tę dbałość o względy bezwyznaniowego towarzystwa palestyńskiego, a w czem znowu b. budowniczy „obserwatorium społecznego“ w kronenbergowskich „Nowinach“, i jak to zadecydowali jego wydawcy i pryncypałowic w swoim „Tygodniku Ilustrowanym“, jeden z „najwybitniejszych“ (zwłaszcza jako ekonomista i jako estetyki) wychowawców b. Szkoły Głównej, — p. Bolesław Prus dzierży palmę pierwszeństwa. I właśnie nowy ten zwrot w publicystycznej bzikologii p. Prusa miałem już zarejestrować, miałem zaznaczyć i ów tonik bezwyznaniowo-semickiego świsteczka, jaki p. Prus „Kuryerowi Codziennemu“ w „kronikach“ swych nadaje, gdy oto wyprzedził mnie „Przegląd Katolicki“, przesyłając pod adresem tegoż „jednego z najwybitniejszych“, następującą, godną powtórzenia uwagę:

„Dowcip p. Prusa — pisze „Przegląd“ — który pozyskał autorowi „Kronik tygodniowych“ w „Kuryerze Warszaw-

skim“ głośne imię, coraz więcej i częściej poczyną przechylać się ku temu płaskiemu poziomowi moralnemu, na którym traci swoje rozumne znaczenie, a przechodzi w błazeństwo. Ostatnie „Kroniki tygodniowe“ w „Kuryerze Codziennym“ są nader smutnym tego upadku Prusowego dowodem. Niebo, piekło, święci, Kościół, ten lub ów punkt nauki chrześcijańskiej, liturgiczne formy nabożeństwa, są dla niego przedmiotem drwin i równie płaskich jak ohydnych konceptów. Bezwątpienia i na takie koncepta są amatorzy: ubawiają się nimi knajpiarze, cieszyć się z nich będą żydzi i wszyscy nieprzyjaciele naszej wiary, ale ze wstrętem tylko i z najwyższym oburzeniem spotka się z nimi każdy prawy chrześcijanin.“

Słów niewiele, ale zato treść ich tak dobitna i jasna, że, polecivszy ją rozwadze p. Prusa — mogę przejść do załamania rąk nad nowym gromem, jaki w naród nasz lada chwila — uderzy. Bo, wyobraźcie sobie państwo, „Głos“, ów „Głos“, którego założyciel, pan Kiersz, zapowiadał społeczeństwu nową erę szczęśliwości wszelakiej, zwija pono swój sztandar. Tak przynajmniej domyślać się może jeden z artykułów naczelnych organu „podporządkowywania“ p. t. „Inteligencya wiejska“, podpisany przez głównego redaktora, pana J. K. Potockiego, wiodącego swój ród, jak o tem sam w swem piśmie objaśnił Europę, nie od Mendlów, przypuśćmy, Regenbachbindlów, ale od „regimentarzy konfederacyi Barskiej“, i pieczętującego się herbem Szeliga. W artykule tym, „potomek regimentarzy“, zohydziwszy po raz nie wiem już który „strupieszalą szlachetę“, w sposób nie lepszy ani gorszy od tego, na jaki zdobyłby się z pewnością „potomek“ zwykłych Mendlów warszawskich, zdaje się najwyraźniej wątpić o skuteczności „programu podporządkowywania“, a z jego słów żółciowych i smutnych możnaby wyprowadzić taki, mniej więcej, sens moralny: Widzisz ty, mój chłopie, my, jedyni i twoi rzecznicy i opiekunowie, chcieliśmy zrobić dla ciebie coś wielce wspaniałego. Chcieliśmy podporządkować ci interesy wszystkich klas społeczeństwa, t. j. wszystko co pańskie i w ogóle co cudze twoim wyłącznym interesom; chcieliśmy dalej dać ci i kulturę chłopską i nową wiarę ludową, ale, jak się przekonywamy, nic z tego nie będzie. Bo widzisz, mój chłopie, ty o naszym „Głosie“ nie wiesz nic dotychczas i zapewne nigdy — wiedzieć nie będziesz, nie potrafisz więc pojąć naszego dla ciebie poświęcenia, a i n t e l i g e n c y a wiejska?! Ach, ona ani nas, ani ciebie, mój chłopie, ani w ogóle „programu podporządkowywania“ ocenić nie potrafi. Obywatele, księża, lekarze, adwokaci, rzemieślnicy etc., wszystko to przesiąknięte do szpiku kości szlachetczyzną i pogardą dla ciebie, przeto czekaj, mój chłopie, aż „podporządkowania“ dokona samo — życie!

Biedny, nieszczęśliwy chłop! — co on pocnie teraz? Co pocnie, jeśli zwłaszcza sprawdzi się chodząca już po Warszawie wieść głucha, jakoby „Głos“ miał się zlać z „Przeglądem Tygodniowym“, na wzór dokonanego niegdyś zlania „Tygodnika Powszechnego“ z „Ilustrowanym“? Bo czyż pan Wiślicki, odziedziczywszy ów spadek po panu Władysławie Kierszu, będzie w dalszym ciągu pielegnował, rozwijał „ideę interesów chłopskich“. Wątpię, albowiem nasz pan Adam jest zbyt dobrym kupcem i człowiekiem praktycznym, iżby nie rozumiał, że na „popieraniu interesów chłopskich“, zamiast semickich — interesu nie robi.

Czekaj więc, biedny chłopie, na zjawienie się nowego pana Kiersza i na założenie nowego znów organu z „ideami chłopskimi“, czekaj choćby tak długo jak, nie przymierzając, czekają urzędnicy i oficjaliści kolei Terespolskiej na przyznawanie im zasiłków, w razach potrzeb gwałtownych, z tak zwanego „funduszu wsparć“. Fundusz ten, jak nas interesowani objaśniają, wynosi 25,000 rubli, ale ma on także swoje „idee“ i, jakby ku większemu jeszcze rozgorączczeniu „Głosu“, nie chce być wcale — demokratycznym. Gdy bowiem o wsparcie „poda się“ ten lub ów dygnitarz kolejowy, „w celu poratowania zdrowia u wód zagranicznych“ — fundusz jest gotowym każdej chwili do usług. Bierz, czerp, powiada on, ile zechcesz: 300, 400, 1,000 rubli i więcej, boś ty „pan naczelnik“. Ale gdy w miejsce dygnitarza, — z prośbą o zasiłek, którym mógłby uratować chorą żonę lub dziecko, występuje kancelista, konduktor albo woźny — fundusz kurczy się wówczas, niby ów słynny perkal w fabryce Szejblerowskiej i mówi pogardliwie: czekaj sobie hołoto, albowiem pan dyrektor nie po to jest dyrektorem aż dwóch dróg żelaznych, iżby miał czas na odczytywanie twoich bzdurnych lamentów. I czekają też śmiertelnicy przeciętni na „dekretacyę“ po pięć, sześć, albo więcej miesięcy; czekał tak samo i ów woźny, niejaki Węglewski. Prośba jego,

o wsparcie na knurację w przewlekłej i upartej chorobie, z uwagi na 20-sto letnią służbę „petenta“, została uwzględniona, ale „decyzya przychylna“ nastąpiła wtedy, gdy Węglewski już—nie żył. Ha cóż począć?—i na kolejach naszych jednym widocznie noże gołą — innym brzytwy nie chcą.

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Daremne siłowania bezstronnego kronikarza. — Czarna niewdzięczność baroneta Artura Fantona. — Czasy barbarzyńskie minęły. — Przygoda nauczyciela w Nagy-Semlak. — Dobrze mu tak! — Przykłady genialności rodu niewieściego. — Konkurs na kuplety. — Pomysł pensyonarek londyńskich. — Impertynent introligator. — Biedny Józio Hoffmann! — Miłość bratersko-niemiecka. — *Usque ad finem*. — P. Grévy i p. Clémenceau. — Boulanger i bonapartyści. — Kandydaci na posadę prezydenta. — Sprzecznosc kraju z jego reprezentacją w Danii. — Zamiar rządu duńskiego. — P. Risticz i radykaliści.

Co to pomoże, że się ktoś urodził z przeproszeniem mężczyzną, kiedy, jeżeli tylko ma odrobinę sumienia i poczucia sprawiedliwości, musi, rad nie rad, być jedynie echem coraz nowych tryumfów rodu żeńskiego!... Choć wiadomo, że nie jestem wrogiem pięknej połowy ludzkości, jednakże choćby dla uniknięcia plotek i odwrócenia podejrzeń o stronność, chciałem niniejszą pogawędkę rozpocząć od jakiegoś pięknego czynu męskiego; ale cóż, kiedy mi żaden z moich braci po płci nie chciał wleźć pod pióro, z wyjątkiem owego bogatego baroneta Artura Fantona, który w pierwszym roku po ślubie, wskutek wypadku na polowaniu zaniewidział i przez lat dwadzieścia doznawał w ślepcie swojej opieki i najtroskliwszych starań ze strony Kochającej go małżonki; a gdy niedawno temu, namówiony do poddania się operacji, wzrok odzyskał, odepchnął od siebie wierną towarzyszkę, aniola opiekuńczego swego kalectwa, dla tego, że mu się anioł ten po dwudziestu latach nie dość świeżym wydał, że nie wyglądał tak, jak w chwili, kiedy się oczy jego na światło dzienne zamykały...

Każdy przyzna, że czynu tego, lubo świadczącego o wysoko rozwiniętym zmyśle estetycznym, do czynów bohaterskich, do czynów chlubi imieniowi męskiemu przynoszących zaliczyć niepodobna. Tymczasem, gdzie tylko ucho nadstawisz, wzrok poslesz, wszędzie napotkasz całe gromady faktów, podnoszących w rozmaitych kierunkach sławę tej płci, którą niedawno jeszcze temu, „słabą i zdradliwą“ zwać się osmielaliśmy. No, na szczęście, te czasy barbarzyńskie minęły już bezpowrotnie; dziś płeć pomieniona nie potrzebuje się lękać ubliżających denominacji, bo przestała być faktycznie „słabą“. Że tak jest, poświadczają z pewnością ów nauczyciel gminy Nagy-Semlak na Węgrzech, który ściągnawszy na się niezadowolnienie przedstawiciela miejscowej żeńskiej połowy rodu ludzkiego, został osmagany aż pfe, i w stroju pierwszego rodzica naszego wyrzucony na ulicę.

Dobrze mu tak! kto to widział przeciw wodzie płynąć, porywać się przeciw tym, na które dziś czas przyszedł, tak, że gdzie tylko która z nich paluszek położy, zaraz coś genialnego wytrysnąć musi.

Naprzykład niedawno temu znana pani Judic, paryzka śpiewaczka nad śpiewaczkami operetkowemi, ogłosiła konkurs na... najtłustsze kuplety, mogące zaspokoić najwbredniejszego (czytaj: najrozpustniejszego) wymagania operetkowej publiczności. Nagroda wynosiła 200 fr.; między sędziami konkursowymi zasiadły takie tuzy jak Wiktoryn Sardou, Albert Millaud i wielu innych. Nadesłano mnóstwo utworów, pomiędzy którymi wiele było udanych co się zowie, ale jeden szczególnie, posiadał tak niezaprzeczoną wyższość w wymaganych kierunkach nad innymi, że mu areopag konkursowy jednomyślnie przyznał pierwszeństwo. Przepuszczano że arcydzieło to wyszło z pod pióra jakiegoś zakonserwowanego kaprala od huzarów starej gwardyi, — tymczasem... Tymczasem po otwarciu koperty pokazało się, że to utwór 14-letniej panienki, noszącej jedno z najpiękniejszych nazwisk francuzkich, a pozostającej w Paryżu na pensyi.

Podobno nazajutrz po ogłoszeniu rezultatu konkursu rodzice geniuszki odebrali ją z pensyi, nie chcąc snąć takiego klejnotu rodzinnego pozostawiać dłużej pod obcym dachem, ale przełożona pensyi nic na tem nie straciła, gdyż w miejsce ubylej przybyło kilkadziesiąt nowych pensyonarek zakładawdy, osiągającemu tak świetne rezultaty edukacyi.

Niemniej wczesnego dojrzewania genialnych pomysłów dowody złożyła pewna pensya żeńska w Londynie. Tutaj znów pensyonarki, które do pewnego czasu zdradzały niezbyt gorącą ochotę do nauki, mianowicie do gramatyki,

naraz stały się nad podziw pilnemi. Nie wypuszczały z rąk gramatyk, ślęcząc nad niemi tak zawzięcie, że ich do obiadu trudno było oderwać. Przełożona, miss Ellen White, nie posiadała się z radości, że jej uczennice tak naraz przyszły do przekonania o pożytku nauki; w tem raz wpadła jej przypadkiem w ręce jedna z gramatyk. Któż opisze zdziwienie miss White gdy ujrzała, że w okładkach gramatycznych mieści się jeden z romansów Kocka! Nastąpiła rewizya iunych gramatyk i pokazało się, że w nich mieści się nietylko cały Kock, ale cała naturalistyczna belletrystyka, począwszy od mistrza Zoli aż do najdalej idących jego naśladowców. Zrozpaczona pani White wytoczyła proces introligatorowi; ale ten złożył wyłomaczył się przed sądem, że on jest od tego żeby oprawiał książki jakie mu kto da, w okładki, w jakie sobie kto życzy, — a zresztą, dodał z złościwością właściwą męskiemu narodowi, on, biorąc szylinga za oprawę, nie może być obowiązany do kontrolowania książek pensyonarskich, podczas gdy pani White, biorąc 80 funt. szter. od jednej pensyonarki... i t. d., i t. d. No, i jak tu mężczyźni mają liczyć na jakąkolwiek pobłażliwość ze strony płci, coraz bardziej zagarniającej pod swą władzę rządy świata!...

To też obecnie, jeżeli płeć brzydka może się szczycić jakimikolwiek względami płci nadobnej, to chyba tylko w latach swoich dziecińczych, — i nie dziwnego, wszak nawet jaszczurka, dopóki młodziutka, jest ładna. Przykład mamy na „Józium Hoffmannie“, który skarży się, że go damy angielskie na śmierć chcą zacałować, i nie chcą zajeżdżać do zamków lordów i bogaczy, z obawy utraty wszystkich włosów, które mu panie wystrzygują na pamiątkę, a obok tego każą mu się po całych dniach podpisywać w swoich albumach... Poczekaj jeno trochę, mój Józieczku; jak podrośniesz, będziesz może nieraz chciał dać życie za to, czem teraz gardzisz — ale niestety! będzie już zapóźno... Gdy ty dojdiesz do wieku męskiego, męczyzna będzie już zapewne kompletnym, wzgardzonym i na wytopienie skazanym paryasem, bo i dziś już jest czemś nie o wiele lepszym.

Ale dobrze mu tak, powtarzam jeszcze raz; — co wart ród, który się tak ciągle kompromituje. Naprzykład ci dwaj kupcy w Lipsku, choć to mężczyźni z najlepszego jeszcze gatunku, bo z niemieckiego! Jeden z nich oszukał skarb publiczny na stemplu 2,099 razy; za co wprawdzie zapłacił potem z górą 50 tysięcy marek, gdyż go denuncyował drugi kupiec, który rywalizował z nim, handlując tym samym towarem. No, dotąd wszystko dobrze, prawo wolnej konkurencyi i nic więcej, — tylko to szkoda, że ten drugi kupiec jest — rodzoniuteńkim bratem pierwszego. A co, czy to nie piękne?... Niech żyje ród męzki w gatunku niemieckim!...

Usque ad finem! wziął sobie za hasło prezydent rzeczypospolitej francuzkiej. Wszystko się dokoła niego zapada: zięcia kwalifikują mu do odpowiedzialności kryminalnej; gabinet podaje się do dymisji; cała prasa krzyczy na niego żeby poszedł w ślady p. Rouviera, — a on nie i nie! Posada prezydenta — powiada — jest według konstytucyi nienaruszalna (*inamovible*); ja nie chcę dawać na swej osobie przykładu nadwyższenia tej prerogatywy; — nie ustąpię więc, a to tem bardziej, że nie chcę powiększać i tak już niepomiernego chaosu, w jaki kraj popadł obecnie... Kto wie?... może po części i ma rację! Dla uratowania sytuacji prezydent próbuje wszelkich kombinacji w celu utworzenia nowego gabinetu; konferował nawet z panem Clémenceau, i ten radykalista impertynent podjął się złożyć nowe ministerium, ale pod małym warunkiem, a mianowicie, że on, Grévy, w styczniu poda się do dymisji. Lekarstwo więc prawie gorsze od choroby.

Boulanger siedzi cicho, przebąkują tylko coś o jego sympatyach dla bonapartyistów, a z drugiej strony książę Wiktor miał zawezwać swoich stronników, aby w razie wyboru nowego prezydenta dali swoje głosy Boulangerowi. Jako innych kandydatów do prezydentury wymieniają Sadi Carnota, de la Forge'a i Brisson'a.

Szczególnie widowisko przedstawia Dania. Większość sejmu stale tam przeciwną jest zamiarom rządu podniesienia bojowej gotowości kraju i jaknajsilniejszego ufortyfikowania Kopenhagi; rząd atoli pomijając sejm (folketing) przeprowadza uzbrojenie i fortyfikuje stolicę, a funduszu na to dostarczają mu — dobrowolne składki całego kraju!... Tak więc widocznie reprezentacya narodowa odrzuca to, czego sobie naród przez nią reprezentowany życzy. Słusznie zatem rząd postanowił rozwiązać folketing, na owej sprzecznosci opierając nadzieję, że nowe wybory wypadną dla niego pomyślniej; w przeciwnym razie fakt tej sprzecznosci byłby niewytłomaczonym.

Nietylko p. Grévy ale i p. Risticz ma kłopot z rady-

kalistami. Zdawało mu się, że sobie zjednał już w nich wierznych sprzymierzeńców; tymczasem organ tego stronnictwa „Radical“ powiada otwarcie, że Risticz już jest za stary, że prezesowstwa w gabinecie powinien ustąpić młodszej sile, — a jeżeli nie, to może się całkiem wynieść z gabinetu i zająć się wykończeniem swoich pamiętników dyplomatycznych, na które „świat niecierpliwie oczekuje“. Radykalny ten humor nie w smak zapewne poszedł p. Risticzowi, który dotąd uchodził za reprezentanta najdalej idących dążeń serbskich.

E. Jerzywa

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Nowe wydania. Według doniesienia petersburskiej gazety „Swiat“, wydanym został z Berlina rozkaz nowych wydań poddanych ruskich z Torunia, Gdańska i innych miejscowości nadgranicznych

Spółki mleczarskie. Ziemianie w okolicach Warszawy powzięli chwalebny zamiar pozbycia się hurtowego starozakonnych pachciarzy, a założenia natomiast kilku mniejszych spółek mleczarskich. Ponieważ projekta podobne nieraz już w gronie ziemian powstawały i nikły, tem goręcej przeto życzyć należy, aby ten ostatni okazał się — szczęśliwszym.

Pomoc lekarska w porze nocnej. Doktor G. Fritsche podnosi nanowo, w „Kuryerze Warszawskim“, upadły przed czterema laty projekt uorganizowania w Warszawie pomocy lekarskiej w porze nocnej. Nie mogąc na teraz wdawać się w szczegóły wspomnianego projektu i nie przesądzać, czy urzeczywistnienie jego w tej formie, w jakiej go Dr. Fritsche przedstawia, byłoby praktycznym, lub przeciwnie, nie chcemy, bądź co bądź, pójść za przykładem pism innych i pominąć milczeniem sprawy, która dla Warszawy jest stanowczo jedną z najpilniejszych i najżywoźniejszych. Trudno temu uwierzyć, a jednak tak jest w rzeczy samej, iż w mieście liczącem kilkuset lekarzy, można jednako w nocy godzinami całemi poszukiwać lekarza i nie znaleźć go wcale; — można więc do łóża chorego, którego życie zawisło od pomocy natychmiastowej, wrócić jedynie z załamaniem rękami i patrzeć jak on, w Warszawie, w mieście liczącem 400,000 ludności i kilkuset, powtarzamy, lekarzy, umiera bez ratunku! Sądźmy też iż każdy, kto choć raz w swoim życiu odbywał po Warszawie tę wędrowkę nocną, kto ją odbywał w chwili, gdy dla osoby mu drogiej każdy kwadrans stracony mógł stanowić o życiu albo śmierci; kto, w niedającym się wysłowić udrczeniu, opuszczał drzwi i dzwonki mieszkań lekarskich — odprowadzany z nieczem; ten zrozumie zapewne, jakim to barbarzyństwem i jakim wstydem dla ucylizowanej Warszawy jest brak tej pomocy, o jaką się Dr. Fritsche rozumnie słowem — dopomina.

Z Sądu. W Maju r. b. dostrzeżono, iż z cmentarza Powązkowskiego nikną, jeden po drugim, kosztowne wazony kwiatów, i że ich już znikło 17 sztuk. Otóż, jak się następnie okazało z przeprowadzonego śledztwa, kradzieży tej dopuścili się żydzi. Mianowicie, wazony z cmentarza kradł niejaki Borensztein, paserką zaś puszczającą przedmioty te w kurs, była pewna żydówka zamieszkała w miasteczku Powązkach. Sprawa ta była niedawno właśnie rozpatrywana w warszawskim sądzie okręgowym i, mocą wyroku tegoż sądu, Borensztein skazanym został na lat 3, paserka zaś na jeden rok więzienia.

Chybiona złość. W czasie kiedy się toczyła sprawa przepuszczenia żydów do naszych zgromadzeń rzemieślniczych, między wielu głosami protestującymi przeciwko owej inowacyi, pomieściłszy również i głos p. Józefa Betchera, jubilera w Warszawie. Wkrótce potem, w jednym z tutejszych magazynów jubilerskich spełniona została kradzież znacznej ilości przedmiotów złotych, których część, już połamanych, nabył p. Betcher. A jakkolwiek pierwsi śledztwo wykazało zaraz, że przedmioty te nabył p. B. już z trzeciej, czy nawet z czwartej ręki, zapłaciwszy za nie cenę zwykle praktykowaną, nie przeszkodziło to przecież reporterom żydowskiemu okrzyknąć w „Kuryerach“ tegoż pana Betchera, jako człowieka pozbawionego wszelkiej czci i wiary i nazwać go paserem! I nie dosyć tego. Sumienni ci rycerze pióra zwracali się z przycinkami do „Roli“, a „Izraelita“ napisał z tego powodu aż artykuł wstępny (!), wołając: patrzcie, jakich to „Rola“ ma „korespondentów“! Naturalnie, nizki ten wybryk złości, podobnie jak i setki innych, dosięgnąć nas nie mógł choćby z tego względu, że pomieszczając artykułiki czy listy nadsyłane w sprawach publicznych — nie jesteśmy wcale obowiązani znać o sobie iście ich autorów. Wyznajemy jednak, iż chcąc mieć jeden więcej dowód, jakiej to broni względem swych

przeciwników używają żydkowie, — rezultatu całej tej sprawy byliśmy ciekawi, i otóż ciekawość nasza została zaspokojona. W tych dniach bowiem, sprawa o jakiej mowa sądzoną była w sądzie okręgowym warszawskim — a sąd ten, wedle sprawozdania w „Kuryerze Codziennym“ (Nr. 319) pana Betchera uznał za niewinnego, uwalniając go od wszelkiej odpowiedzialności.

Tym sposobem, złość żydowską, można nazwać w tym wypadku, chybną, lecz jak ją nazwać obok tego jeszcze? Gdyby owe połamane przedmioty złote, nabyte z czwartych rąk, po cenie z wyżej, znalezione były u którejkolwiek innej firmy jubilerskiej, reporterya żydowska nie zechciałaby jej właściciela postawić publicznie w rzędzie „zwykłych passerów“. Ale p. Betcher nadesłał artykuł do „Roli“, p. Betcher występował nawet przeciwko żydom w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu; trzeba więc skorzystać z okazji i przed ukończeniem sprawy, przed wyrokiem sądownym, zbezcześcić go, zozydzić; trzeba, przez puszczenie „wiadomości“ o jego „passerstwie“, wywrzeć nacisk na śledztwo i na sąd — trzeba go, słowem, zgubić, zniszczyć, zrujnować. Nie tak wielkiej wagi to fakt, ale charakterystyczny. Bo i jakże nazwać, pytamy, niegodziwość, która za czyjąś opinię w sprawie publicznej chwytą się aż takich środków? Jak nazwać i owych marnych żydków od „Izraelity“, którzy stojąc na stanowisku „kierowników organu“ (!), nie znają innej broni, oprócz broni kłamstwa, oszczerstwa, niskich wreszcie, jak oni, insynuacyj — i którzy, przy tem wszystkim, śmiały jeszcze tytułować się „obywatelami kraju“? Śliczni o bywatele!

Z prasy. Z powodu przypadającej w tygodniu ubiegłym, 25 cio letniej rocznicy otwarcia w Warszawie b. Szkoły Głównej, niektóre pisma ilustrowane podały artykuły odnoszące się do jej dziejów oraz portrety profesorów i wybitniejszych wychowanków.

Nowości wydawnicze. Najczynniejsza spośród dzisiejszych firm wydawniczych, księgarnia Paprockiego puściła świeżo w świat następujące książki:

Schalera „Dzieje ziemi“, w przekładzie p. Henryka Wernica. T. Flinzera „Metoda nauki rysunku“ — podręcznik, z 44 rysunkami w tekście i 21 litografowanymi tablicami.

Dr. A. Cullerrea „Magnetyzm i Hypnotyzm z punktu widzenia klinicznego, psychologicznego, medycznego i prawnego“ — w przekładzie p. Dawida.

Dr. Adolfa Bagińskiego „Życie kobiety — listy o higienie kobiecego organizmu“, przekład z niemieckiego.

M. Zielińskiej „Teatrzyk amatorski dla dzieci“.

Lucyana Tałomira „Król Kazimierz Wielki i Mikołaj Wierzynek — zyciorys historyczny“.

M. Konopnickiej „Cztery nowelle“.

Pan Edward Koliński wydał już wychodzący od lat trzech Kalendarz p. t. „Strzecha Rodzina“. Wydawnictwo to przeznaczone dla ludu, zawiera treść nie tylko pożyteczną, ale i podaną o wiele umiejętniej, niż w innych tego rodzaju publikacjach, nie wyłączając rozreklamowanego „Gościa“. Na czele Kalendarza pomieszczono nader starannie wykonaną rycinę: „Powrót z Golgoty“ (kopia z obrazu Krudowskiego), do której piękny wiersz napisał p. Adam Pług. W tekście zaś Kalendarza mieści się, obok zajmujących powiastek, wiele artykułów, które ludowi naszemu bardzo przydać się mogą. Do takich należy naprzykład popularnie skreślony artykuł „O przemyśle wiejskim“; dalej artykuł p. E. Janakowskiego „O przysporzeniu dobrobytu dla gospodarzy“, „O strażach ogniowych ochotniczych“, „Słowo o rzeczach sądowych“, „Poradnik szkolny“ i t. d. Szerzeżę więc życzyć wypada aby Kalendarz p. Kolińskiego znalazł się istotnie pod każdą strzechą i rodziną, a do czego i niska bardzo cena (kop. 15), obok poparcia ludzi dobrej woli, powinny się przyczynić.

Przy sposobności nie zawadzi nadmienić, iż p. Koliński, otworzywszy księgarnię w Warszawie (Marszałkowska Nr. 122) pragnie ją prowadzić głównie w kierunku potrzeb ludowych. Widząc zaś z Kalendarza, iż p. Koliński potrzebuje te rozumie, że rozumie je lepiej i pojmuje sumiennie niż niektórzy inni, okrzyczani i uganiający się za reklamą, a obłudni przytem w swych zasadach „pisarze“ — życzymy mu szczerze powodzenia na trudnej i mozolnej, ale prawdziwie pożytecznej drodze.

Z teatru i muzyki. W teatrze Wielkim przedstawiono nową w 2-ach aktach, krotoczwilę Jordana, p. t. „Polowańko“. Główną rolę odtworzył Żółkowski, w 55-ty rocznicę swojej pracy scenicznej.

W teatrze Rozmaiteści wznowiono „Kaprys“ Musseta.

Na tejże scenie, przypadkiem pewnie jakimś, wystawiono jednoaktową komedię panny Heleny Glücksberg, czyli, jakby powiedzieć „Kuryerek Codzienny“, panny Glücksberg *żanki*. Licha to farsa, w której nieudolność pióra wельczy o lepsze z niedorzecznością różnych, głuszych konceptów. I musi tak być rzeczywiście, jeżeli krytycy warszawscy, mimo że autorka jest starozakonną, nie zrobili jej wcale — znakomitością; owszem, odważyli się (!) nawet na wyraźną — naganę...

Zmarli: Ś. p. Ignacy Bagiński, patron i prawdziwy dobroczyńca Towarzystw polskich na Szlaku, człowiek prawy i zacny — zm. w Oddessie, poczyniwszy znaczne zapisy na cele dobroczynne.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. ks. R. Kor. w Szez.—W zupełności podzielamy to zdanie. I my bowiem wolimy stokroć liberatów jawnych, niż zakapturzonych, a ów dobroczyńca ogółu i „krzewiciel światła“, do tych ostatnich niewątpliwie należy.

Hr. Ks. Zam. — Owszem, zużytkujemy najchętniej o ile to będzie — możliwem...

P. J. Wulkienikienas. — Fakt podamy, — dziękujemy uprzejmie.

Dr. Mił. w Krak.—Zgoda, pozrowienie.

P. J. Chwędkowski Łunna. — Będzie w przyszłym numerze.

P. M. Grosbein.—A pan przypuszczałeś że „reklamować“ będzie firmy starozakonne? Ależ one mają już tylu protektorów, że bez „poparcia“ „Roli“ śmiało obejść się mogą. Pojmujemy, że to „systematyczne polecenie“ firm chrześcijańskich „razić“ was musi; ale cóż poradzić na to? „To pismo“ jest „od tego“ właśnie.

REKLAMY.

Dentysta **Marceli Grzeszkiewicz**, Nowy Świat Nr. 55, przyjmuje od 10 do 6-ej, —specyalnie sztuczne zęby. 6—5

STUDENT UNIWERSYTETU

poszukuje lekcji lub korepetycji z przedmiotów wchodzących w zakres matematyki. Wiadomość w Redakcyi „Roli“, Nowy-Świat Nr. 4. (3-3)

OGŁOSZENIA.

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-47

i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Białańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

52--20

Fabryka i Magazyn
Józefa BETCHERA
TEATRÓW RZĄDOWYCH
Sprzedaje
Wyroby Złote, Srebrne
i Brylantowe
Najtaniej
Z czem się poleca.
Marszałkowska 139
8-my dom
od Ogrodu Saskiego.

Taniość — Spokój — Komfort!

HOTEL-GARNI

„MINERWA“

w Warszawie,

Nowy-Świat Nr. 36 — 40, nie dochodząc ul. Foksal.

Poleca urządzonych kilkanaście pokoi na wynajem, dziennie, tygodniowo, lub miesięcznie.

Wygody wszelkie, służba odpowiednia.

Za ceny: od kop. 75 do rs. 1 kop. 50 na dobę, ze wszystkim, oprócz światła i opału. (4-3)

SPECYALNY HANDEL WIN

Stanisława Mędrzeckiego

ulica Trębacka Nr. 15, — od Wierzbowej,

zaopatrzony w wielki wybór Win Węgierskich, Francuzkich, Austriackich, Hiszpańskich i Szampańskich, jak również w Cognaki od najtańszych do najdroższych, Porter, Piwo Angielskie, Romy i Likierzy.

Sprzedaje na butelki, garnce i beczki. Ekspedycya na prowincyę szybka — z czem mam honor polecić się

(6—1)

Stanisław Mędrzecki.

PRAKTYCZNE PODARKI

NA GWIAZDKĘ

dla Dam, Mężczyzn i Dzieci

poleca

FABRYKA i MAGAZYN (52—16)

T. L. BREYMEYER, — Warszawa

Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

Magazyn Ubiorów Męzkich

NOWOŚCI FRANCUZKICH I ANGIELSKICH

Stanisława Srockiego

ul. Długa Nr. 19, drugi dom od ul. Miodowej

poleca na obecny sezon: wielki wybór materyałów, ubrań gotowych, oraz Futra w różnych gatunkach.

(6-3)

Kaucyonowane

BIURO NAUCZYCIELSKIE

Z. JASIŃSKIEJ (2—1)

Ulica hr. Berga Nr. 6, — w Warszawie.

Rekomenduje Nauczycieli, Guwernantki i Bony różnych narodowości i stopni wykształcenia — osoby na lekcye i korepetycye. — Rządców dóbr, Gorzelanych i Praktykantów gospodarczych. — Na żądanie wprowadza wprost z zagranicy Guwernantki i Bony.

KUCHENKI BENZYNOWE od rs. 1 kop. 20.

NAFTOWE od rs. 1.

ŁÓŻKA ŻELAZNE zwyczajne i ozdobne.

UMYWALKI.

NACZYNIA KUCHENNE.

NOŻE, NOŻYCZKI, oraz WYROBY ŻELAZNE,

po cenach umiarkowanych poleca

Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych

Edwarda Dusoge

Nowy-Świat Nr. 1

(róg Placu Ś-go Aleksandra).

**Skład Win, Herbaty, Cukru, Kawy, Towarów Kolonialnych
i Kantor pism peryodycznych**

WŁADYSŁAWA BIERNACKIEGO

(5-3)

przy ul. Nowomiejskiej, róg Podwala, obok kościoła po-Paulińskiego
W WARSZAWIE

Skład powyższy zaopatrzony w najlepsze i najświeższe towary, po możliwie najniższych cenach. Cukier po cenach fabrycznych, — z czem mam honor polecić się Szanownej Publiczności.
Dla sklepów chrześcijańskich na prowincyi odstępuje się stosowny rabat.

ISTNIEJĄCY OD 1838 ROKU

SKŁAD PAPIERU oraz FABRYKA WYROBÓW INTROLIGATORSKICH A. CHODOWIECKI,

Plac Teatralny Nr. 11,

poleca własnego wyrobu Księgi Główne, Kassowe, Dzienniki, Księgi do kopji listów, weksli i t. p.

Wszelkie zamówienia na Księgi podług wyjątkowych wzorów, fabryka dostarcza z doborowego papieru w mocnej oprawie, w czasie jak najkrótszym.

Założona w 1884 r. Fabryka wyrobów introligatorskich, wykonywa piękne i tanie Albumy do fotografii i do poezyi, Ramki pluszowe, Teki skórzane i płócienne, do papierów, Teczki do pisania listów, Kieszonki safiarowe do biletów wizytowych i do drobnej monety. — Przyjmuje do oprawy Mappy, Szytechy, obrazy w ramy, wszelkie roboty na kanwie, atlasie i skórze.

Fabryka mieści się przy ulicy Miedzianej № 4. — Zamówienia na powyższe przedmioty przyjmują się w Składzie Papieru A. CHODOWIECKIEGO, Plac Teatralny Nr. 11.

(6-1)



Na nadchodzące Święta
Warszawska Winiarnia

M. Parzelski i S-ka
W WARSZAWIE

ulica Miodowa Nr. 1
Kantor: Nowo-Senatorska N. 4.

poleca: Wina
Kaukaskie, Krymskie
i Bessarabskie, odleżale,

czyste, pod gwarancją,
Przyrzecem ma zaszczyt za-
wiadomić Szanowne Ducho-
wiewstwo, że skład Ducho-
zaopatrzony jest w wina u-
żywane do Mszy Ś-tej, wy-
próbowanej dobroci.

Ceny win, tak czerwonych
jak białych, poczynają się:
garniec od rs. 1 kop. 20 —
butelka od kop. 30.

Cenniki, na żądanie, wysyłają się
bezpłatnie.

P. P. Handlującym odstępuje się
odpowiedni rabat.

3-1



Tadeusz Kowalski i A. Trylski

WARSZAWA,
Miodowa Nr. 4

polecają: (4-3)

Sieczkarnie syst. Bentalla, ręczne i maneżowe od 24 do 200 rs.

Siekacze i Szarpacze do kartosli i buraków od 25—85 rs.

Parowniki, Sortowniki i Płuczki do kartosli. Rozdrabiacze do kuchów, Gniotowniki, Śrutowniki do zboża ręczne i maneżowe.

Przyrządy do bukowania koniczyzny, do młocarni, Cegielskiego i Claytona & Shuttlewortha.

Młocarnie specjalne do bukowania koniczyzny oraz wszelkie inne Machiny i Narzędzia Rolnicze wypróbowanej dobroci.

MAGAZYN UBIORÓW DZIECIENNYCH ORAZ SZYNELE, MUNDURY I BLUZY DLA UCZNI JULJANA PIOTROWSKIEGO

byłego zarządzającego bazarem dzieciennym przez lat sześć

W WARSZAWIE

ulica Miodowa Nr. 14.

3-3

SKŁAD MEBLI

13-12

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), I-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykwińtych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.



Czapki Karakułowe, Bobrowe, Piżmowcowe i t. p.
Wielki wybór i b. tanio
sprzedaje Magazyn

Antoniego Tuczyn

w Warszawie Podwał N. 16
w Radomiu ulica Rwańska 38.

(6-2)

Wystawa przemysłowo roln. w r. 1885.
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

MAGAZYN MEBLI ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokoiów jadalnych, sypialnych, saloonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracyjne, podług najświeższych żurnali

(13-8)

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kotnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kalesony, Skarpetki i Szelki, Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera. Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spieszenie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—10



Ja Książę General-Lejtenant niżej podpisany oświadczam, że na zasadzie zawartej umowy, powierzyłem firmie

SCHOBER i ZAWADZKI

W WARSZAWIE

reprezentację i główną sprzedaż na Królestwo Polskie Win Gruzjskich z własnych winnic położonych w majątkach: Muchrań, Dompala, Cichisziry, Czangilari, Natachtary i Digomi w Tyfliskiej gubernii :

Tyflis dnia 3 (15) Września 1887 r.

(podpisano) Książę Jan Konstantynowicz Bagration Muchrański

Powołując się na powyższe ogłoszenie, mamy honor zakomunikować, że z dniem 12 b. m. otworzywszy Skład Win przy ulicy Senatorskiej pod Nr. 24, rozpoczęliśmy sprzedaż tychże Win Gruzjskich czerwonych i białych, jak również Szampańskich z winnic J O Księcia Bagration Muchrańskiego, zaszczyconych na wystawie przemysłowej w Moskwie w 1882 r. najwyższą nagrodą Herbem Państwa, które to wina sprzedawać będziemy li tylko w oryginalnych butelkach, oraz z własnych osobistych zakupów, na miejscu u producentów

Win Kachetyńskich i Krymskich

(3—2)

na butelki, garnce i beczki.

Próby i cenniki na żądanie udzielamy i przesyłamy pocztą. Handlującym ustępujemy rabat. Gwarancja czystej jagody win naszych, najzupełniejsza.

SCHOBER i ZAWADZKI.

MAGAZYN BŁAWATNY W. KLECZYŃSKIEGO Krakowskie Przedmieście 64

(Resursa Obywatelska)

otrzymał wielki wybór towarów na sezon bieżący i poleca takowy Szanownej Publiczności po cenach bardzo niskich, a mianowicie :

Materyały półwełniane gładkie po kop. 13, 20, 22 1/2, 25, 30, 35.

Materyały w kratkę podwójnej szerokości po 30, 40 i t. d.

Materyały czysto wełniane podw. szerok. od k. 60 za łokieć.

Flanele podwójnej szerokości po kop. 50, 60, 75, 90, 1,00, 1,25.

Kaszmiry czarne po kop. 60, 75, 90, 1,00, 1,25, 1,50, 1,80 i t. d.

Armury na pokrycie szub po rs. 1, 1,20, 1,40, 1,50, 1,80, 2, 2,50, 2,80.

Barchany białe od kop. 13 — 40.

Perkale białe od kop. 9 za łokieć.

Płótno Jarosławskie 33 łok. od rs. 7 za sztukę.

Viktorya po kop. 22 1/2, 25, 30, 35 i t. d.

Pika biała barchan po kop. 35.

Półplótna na łokcie od kop. 8.

Madapolamy na łokcie i sztuki po cenach niskich.

Korty po kop. 60, 75, 90, 1,00, 1,30, 1,50 i t. d.

Velvety czarne i kolorowe angielskie w wielkim wyborze.

Chustki wełniane duże od rs. 2,50.

(12—13)

MAGAZYN MEBLI (12—12)

Pracownia Tapicersko - Dekoracyjna

JÓZEFA DZIEGIELEWSKIEGO,

egzystująca 21 lat przy ulicy Ś-to Krzyżkiej Nr. 8, przeniesiona została na tę samą ulicę Nr. 5, vis à vis dawnego pomieszczenia.

Magazyn mój zaopatrzyłem w znaczny zapas Mebli najrozmaitszych fasonów krajowych i zagranicznych, oraz duży wybór garniturów gotowych — salonowych, budoarowych, gabinetowych i fantazyjnych.

Urządzenia całych apartamentów, jako też i drobniejsze roboty w zakresie tapicerstwa i stolarstwa wchodzące, jak dawniej, wykonywać będę punktualnie przy nader niskich cenach.

Z czem się polecam JW. i Wielmożnym Panom, jak również moim stałym klientom, którzy mnie przez ten określony przeciąg czasu zaszczycać raczyli.

Analizowane, uznane i koncesyonowane przez Władze Lekarskie; Nagrodzone listem pochwalnym na Warsz. Hygienicznej Wystawie medalem w dziale farmacji; higieny i pielęgnowania chorych, na Wystawie Krakowskiej.

EKSTRAKT i KARMELKI MIODOWO-ZIOŁOWO-SŁODOWE

FABRYKI „LELIWA“

w Warszawie, ul. Zgoda Nr. 6.

Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie. Główna sprzedaż: w Warszawie w fabryce i Składach Aptecznych: u Mrozewskiego, Spiessa i Zeuschnera, w Odessie u Gajewskiego i Przestrzelskiego, w Moskwie u Mottejsena, w Kercz Jenikale u Hana, w Astrachaniu u Kerna, w Kownie u Miron Klimowicza, w Grodnie u Rozwadowskiego i Feissnera, w Żytomierzu u Mejersona, w Mińsku gub. u Gutowskiego, w Symferopolu u Sokolowskiego, w Mielitopolu u Mindelzona, w Baku u Czyszkowskiego, w Kijowie u Żeligowskiego. Pewniejsze i 50% tańsze od zagranicznych. Fłaszka ekstraktu kop. 75, paczka karmelków kop. 15.

12—2